LUCY MAUD MONTGOMERY

DOLINA TĘCZY

PRZEŁOŻYŁA ANNA BAŃKOWSKA

MARGINESY

Rainbow Valley

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Bańkowska
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

ROZDZIAŁ I

Powrót do domu

BYŁ POGODNY, JASKRAWOZIELONY majowy wieczór. W wodach Four Winds Harbour przeglądały się złociste chmury, widoczne między łagodnymi, ciemnymi brzegami zatoki. Przy mierzei upiornie pojękiwało morze, mimo wiosny pogrążone w wiecznym smutku. Za to wzdłuż czerwonej drogi do przystani, którą statecznym krokiem podążała do Glen St. Mary panna Cornelia, poświstywał wesoło psotny, dobrotliwy wietrzyk. Panna Cornelia była wprawdzie od trzynastu lat panią Marshallową Elliott, ale nadal większość okolicznych mieszkańców wolała zwracać się do niej po staremu. Spośród starych przyjaciół tylko jedna osoba porzuciła ten zwyczaj: Susan Baker, posiwiała, lojalna, lecz zawzięta gospodyni rodziny Blythe'ów ze Złotych Iskier, nigdy nie przepuściła okazji, by z ostentacyjną pogardą nazywać ową niewiastę „panią Marshallową Elliott". Zupełnie jakby chciała jej złośliwie wytknąć status mężatki: „Chciałaś, to masz, i jeśli o mnie chodzi, tak właśnie będę cię tytułować".

Panna Cornelia szła odwiedzić państwa Blythe'ów po ich niedawnym powrocie z trzymiesięcznego pobytu w Europie. Doktorostwo rozpoczęli podróż od udziału w słyn-

nym kongresie medycznym w Londynie, a pod ich nieobecność w Glen miały miejsce pewne wydarzenia, które panna Cornelia chciała z nimi pilnie przedyskutować. Po pierwsze, na plebanię sprowadziła się nowa rodzina. I to taka, że na samą myśl o niej panna Cornelia, zmierzająca właśnie dziarskim krokiem do Złotych Iskier, kręciła z niepokojem głową.

Susan Baker i Anne z domu Shirley śledziły ją z wielkiej werandy, gdzie rozkoszowały się urokami zapadającego zmierzchu. Senne drozdy pogwizdywały cicho wśród klonów, żonkile kołyszące się na wietrze pod ścianą z czerwonej cegły przypominały grupę wdzięcznych tancerzy.

Anne siedziała na schodkach, obejmując dłońmi kolana. W łaskawym świetle wieczoru wyglądała bardziej na młodą dziewczynę niż na matkę kilkorga dzieci, do czego miałaby słuszne prawo, a jej rozmarzone zielonoszare oczy lśniły takim samym blaskiem jak dawniej. Za jej plecami leżała zwinięta w hamaku, tłuściutka jak pulpecik, najmłodsza z latorośli – sześcioletnia Rilla. Miała kręcone rude włosy i orzechowe oczy, ukryte teraz pod powiekami, które jak zwykle tuż przed snem śmiesznie marszczyła.

Shirley – znany w rodzinnym *Who's Who* jako „brązowy chłopczyk" – spał w ramionach Susan. Ze swymi brązowymi włoskami, śniadą karnacją i bardzo różowymi policzkami był jej ukochanym pieszczoszkiem. Anne po jego urodzeniu długo chorowała, więc Susan zastępowała mu matkę z namiętną czułością, której nie zaznało żadne ze starszych, lecz także bardzo jej drogich dzieci. Doktor Blythe utrzymywał, że gdyby nie Susan, Shirley by nie przeżył.

– Dałam mu życie tak samo jak pani, droga doktorowo – lubiła powtarzać. – Jest teraz naszym wspólnym dzieckiem. – I rzeczywiście: to u niej mały Shirley szukał zawsze pociechy, gdy nabił sobie guza, to ona kołysała go do snu i broniła przed zasłużonymi klapsami. Susan bez skrupułów wymierzała sprawiedliwość innym dzieciom Blythe'ów, jeśli wymagało tego dobro ich duszy, ale Shirleya nigdy nie tknęła nawet palcem i nie pozwalała na to jego matce. Raz, kiedy doktor go ukarał, Susan zawrzała świętym oburzeniem.

– Ten człowiek spuściłby lanie nawet aniołowi, droga doktorowo – stwierdziła z goryczą, po czym przez całe tygodnie biedny doktor musiał obywać się bez jej ciast.

Na czas podróży rodziców zabrała Shirleya do domu swego brata. Ponieważ reszta dzieci przebywała wtedy w Avonlea, przez trzy cudowne miesiące miała go tylko dla siebie. Mimo to z radością wróciła do Złotych Iskier i swojej ukochanej gromadki. Ten dom był dla niej całym światem, w którym sprawowała niepodzielne rządy. Nawet Anne rzadko kwestionowała jej decyzje, ku zgorszeniu pani Rachel Lynde z Zielonych Szczytów, która przy każdej wizycie uważała za stosowne jej wytknąć, że pozwoliła Susan wejść sobie na głowę i kiedyś tego pożałuje.

– O, idzie do nas Cornelia Bryant – zauważyła Susan. – Przez trzy miesiące uzbierał się jej cały wór plotek, to pewnie chętnie go rozładuje.

– Właśnie na to liczę. – Anne podciągnęła wyżej kolana. – Umieram z ciekawości, a panna Cornelia na pewno opowie nam o wszystkim, co działo się pod naszą nieobecność: kto się urodził, ożenił czy upił, kto umarł, wyjechał,

kto się z kim pobił, komu zdechła krowa, która dziewczyna znalazła adoratora. Tak cudownie jest znowu być w domu i mieć wokół siebie tych wszystkich drogich sąsiadów. Chcę wszystko o nich wiedzieć... Pamiętam, jak podczas zwiedzania opactwa westminsterskiego zastanawiałam się, za którego z dwóch wielbicieli wyjdzie w końcu Millicent Drew. Wiesz, Susan, mam straszne podejrzenie, że uwielbiam plotki...

– No, pani doktorowo, przecież każda porządna kobieta lubi wiedzieć, co w trawie piszczy. A co do Millicent, to sama interesuję się tą sprawą. Nigdy nie miałam wielbiciela, co dopiero dwóch... Teraz już mi nie zależy, staropanieństwo nie boli, jeśli się do niego przywyknie. Włosy Millicent wyglądają, jakby czesała je miotłą, ale mężczyźni tego nie dostrzegają.

– Bo widzą tylko jej ładną, figlarną buźkę.

– Bardzo możliwe. I choć Biblia głosi, że „kłamliwy wdzięk i marne jest piękno”*, nie obraziłabym się, gdybym mogła osobiście się o tym przekonać. Na pewno kiedy już zostaniemy aniołami, będziemy piękne, ale co nam to da? A skoro mówimy o plotkach... Podobno ta biedna Harrisonowa Miller zza zatoki w zeszłym tygodniu próbowała się powiesić.

– Och, naprawdę?

– Spokojnie, pani doktorowo. Nie udało się jej... Co prawda trudno ją winić, bo ma okropnego męża, ale jakie to głupie! Wieszać się i zostawiać mu wolną drogę do po-

* Księga Przysłów 31,30 (wszystkie cytaty biblijne według Biblii Tysiąclecia). Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

ślubienia innej? Ja na jej miejscu tak bym mu dała popalić, że prędzej sam by się powiesił... Co nie znaczy, że popieram samobójstwo, bez względu na wszystko.

– Ale o co chodzi z tym Harrisonem Millerem? – zainteresowała się Anne. – On zawsze doprowadza ludzi do ostateczności.

– Cóż, jedni nazywają to religią, a inni, za przeproszeniem pani doktorowej, awanturnictwem. Wygląda na to, że nie mogą się zdecydować. Bywają dni, że warczy dosłownie na wszystkich, bo uważa, że czeka go wieczne potępienie. A znów innym razem oświadcza, że ma to w nosie i idzie się upić. Po mojemu to on ma coś z głową, jak każdy z tej linii Millerów. Jego dziadek zwariował, myślał, że osaczyły go wielkie czarne pająki. Ponoć łaziły po nim i fruwały dookoła. Mam nadzieję, że nigdy nie postradam rozumu, zresztą u Bakerów to się nie zdarza, ale jeśli już Opatrzność tak zrządzi, to oby nie przybrało to postaci wielkich czarnych pająków. Nie cierpię ich... A co do pani Miller, to doprawdy nie wiem, czy zasługuje na litość. Niektórzy mówią, że wyszła za Harrisona tylko dlatego, żeby zrobić na złość Richardowi Taylorowi, a jak dla mnie do dziwny powód do zamążpójścia. No ale nie mnie być sędzią w małżeńskich sprawach. O, widzę, że Cornelia jest już przy furtce. Idę położyć tego brązowego aniołka do łóżeczka i zaraz tu wracam z robótką.

ROZDZIAŁ II

Plotki

– A GDZIE RESZTA DZIECI? – spytała panna Cornelia zaraz po pierwszych powitaniach (kordialnych z jej strony, entuzjastycznych ze strony Anne i oględnych ze strony Susan).

– Shirley już śpi, a Jem i Walter z bliźniaczkami są w swojej ulubionej Dolinie Tęczy – wyjaśniła Anne. – Wie pani, dopiero co wrócili i ledwie wytrzymali do końca kolacji. Kochają to miejsce jak żadne inne na ziemi, nawet zagajnik klonowy nie wygrałby w rywalizacji o ich uczucia.

– Obawiam się, że aż za bardzo je kochają – odezwała się złowieszczo Susan. – Jem raz powiedział, że po śmierci wolałby pójść do Doliny Tęczy niż do nieba, a to bardzo niewłaściwe życzenie.

– Pewnie znakomicie się bawili w Avonlea?

– Fantastycznie. Marilla strasznie ich psuje, zwłaszcza Jem jest dla niej chodzącym ideałem.

– Panna Cuthbert musi już być wiekową osobą – zauważyła panna Cornelia, wyjmując robótkę, żeby nie dać się ubiec Susan. Jej zdaniem kobieta, która ma zajęte ręce, zawsze ma przewagę nad tą, która siedzi bezczynnie.

– Marilla skończyła osiemdziesiąt pięć lat i ma białe jak śnieg włosy – odparła Anne. – Natomiast o dziwo, wzrok jej się poprawił i jest lepszy niż dwadzieścia lat temu.

– No dobrze, serdeńko, cieszę się, że już jesteście. Nawet nie wiesz, jak bardzo czułam się samotna. Ale nie nudziliśmy się w naszym Glen, oj, nie. Tak interesującej wiosny nie mieliśmy tu od lat, przynajmniej w sprawach kościelnych. Bo wiesz, nareszcie wybraliśmy sobie pastora!

– Wielebnego Johna Knoxa Mereditha – wtrąciła szybko Susan, która nie zniosłaby, gdyby to panna Cornelia jako pierwsza przekazała nowinę.

– Jest sympatyczny? – zainteresowała się Anne.

Panna Cornelia westchnęła, a Susan wydała jęk.

– Tak, nawet bardzo, ale to przecież nie wszystko – odparła ta pierwsza. – Jest także bardzo uczony... i uduchowiony. Tylko, serdeńko, nie ma ani krzty zdrowego rozsądku.

– Więc co zdecydowało o jego wyborze?

– To, że bez wątpienia jest najlepszym kaznodzieją, jakiego mieliśmy okazję tu słyszeć. – Panna Cornelia wykonała kilka ściegów fastrygi. – Przypuszczam, że przez to swoje roztargnienie i bujanie w obłokach nie otrzymał żadnej miejskiej parafii, ale u nas wygłosił tak wspaniałe kazanie, że dosłownie wszyscy oszaleli, a i prezencję ma niczego sobie.

– Jest niesamowicie przystojny, pani doktorowo, a ja mimo wszystko lubię widzieć za pulpitem atrakcyjnego mężczyznę. – Susan uznała, że czas już zaznaczyć jakoś swoje zdanie.

– Poza tym – dodała panna Cornelia – bardzo chcieliśmy, żeby wreszcie zapadła jakaś decyzja, a na kandydaturę pana Mereditha wszyscy się zgodzili. Przy innych zawsze

ktoś miał obiekcje. Zastanawiano się nad panem Folsomem. To także dobry mówca, ale jego aparycja jakoś nie przypadła ludziom do gustu. Uznano, że jest zbyt ciemny i wymuskany.

– Wyglądał zupełnie jak wielki czarny kocur, pani doktorowo. Nie zniosłabym widoku takiego pastora za pulpitem w każdą niedzielę.

– Potem przyjechał pan Rogers, takie ni to, ni sio – ciągnęła panna Cornelia. – Ale gdyby nawet przemawiał jak

który ze świętych apostołów, nic by mu to nie pomogło, bo akurat w czasie jego kazania wtargnęła do kościoła owca starego Caleba Ramsaya i zaczęła głośno beczeć. Wszyscy się uśmiali, no i biedny pan Rogers nie miał już żadnych szans. Niektórzy proponowali też pana Stewarta, ze względu na jego doskonałe wykształcenie. Podobno czytał Nowy Testament w pięciu językach.

– Ale to raczej nie zapewnia miejsca w niebie – prychnęła Susan.

Panna Cornelia udała, że tego nie słyszy.

– Wielu z nas nie podobało się jego wystąpienie, bo on je po prostu wystękał. Z kolei pan Arnett w ogóle nie umiał mówić. I w dodatku wybrał sobie najgorszy werset z całej Biblii: „Przeklinajcie Meroz!".

– Jak tylko zabrakło mu pomysłu, walił dłonią w Biblię i krzyczał gromkim głosem: „Przeklinajcie Meroz!" – dodała Susan. – Nieszczęsny Meroz, kimkolwiek był*, został tego dnia bardzo gruntownie przeklęty.

* Susan wyraźnie nie wiedziała, że Meroz to nazwa miejsca. Zob. Księga Sędziów 5,23.

– Kandydat na pastora powinien bardzo starannie dobierać teksty do kazań – powiedziała z namaszczeniem panna Cornelia. – Gdyby pan Pierson stosował się do tej zasady, pewnie byśmy go zatrudnili, ale kiedy zaczął od „Wznoszę swe oczy ku górom"*, był załatwiony. Wszyscy się uśmiechnęli, bo przecież wiadomo, że te dwie dziewczyny z domu na wzgórzu od piętnastu lat robią słodkie oczy do każdego nowego pastora. A znów pan Newman ma za dużą rodzinę.

– Zatrzymał się u mojego szwagra Jamesa Clowa – rzekła Susan. – Zapytałam go, ile ma dzieci, a on na to: „Dziewięciu chłopców i po siostrze dla każdego z nich". „Czyli osiemnastka, jak obszył. Do licha, co za rodzinka!", odparłam, a on zaczął się tak śmiać, że myślałam, że nigdy nie przestanie. No i niech mi kto powie dlaczego. Ale która plebania pomieści osiemnaścioro dzieci?

– Naprawdę ma ich tylko dziesięcioro – wyjaśniła panna Cornelia z ostentacyjną cierpliwością. – A dziesiątka grzecznych dzieci nie zaszkodziłaby plebanii i wiernym bardziej niż ta czwórka, która mieszka tam teraz. To nie znaczy, serdeńko, że są bardzo nieznośne, przeciwnie, wszyscy je lubią, ja także... Ich po prostu nie da się nie lubić. I byłyby z nich naprawdę miłe stworzonka, gdyby tylko ktoś nauczył je właściwego zachowania. Bo na przykład w szkole uważane są za wzorowe, ale w domu robią, co chcą.

– A co na to pani Meredith? – zainteresowała się Anne.

– Nie ma żadnej pani Meredith i na tym polega problem. Nasz pastor jest wdowcem, jego żona zmarła cztery

* Psalm 121,1.

lata temu. Gdybyśmy wcześniej wiedzieli, pewnie byśmy go nie wybrali, bo wdowiec to jeszcze gorzej niż kawaler. Ale ponieważ słyszano, jak mówi o dzieciach, wszyscy uznali, że mają matkę. Tymczasem przyjechała z nimi tylko stara ciotka Martha, jak ją nazywają. To kuzynka matki pana Mereditha, który prawdopodobnie przygarnął ją z litości, żeby nie trafiła do przytułku. Ma siedemdziesiąt pięć lat, jest półślepa, głucha jak pień i całkiem zbzikowana.

– I w ogóle nie umie gotować, pani doktorowo.

– Gorszą gospodynię na plebanii trudno sobie wyobrazić. Pan Meredith nie chce nikogo innego zatrudnić, bo mówi, że to by uraziło jego ciotkę. Wierz mi, serdeńko, ta plebania to obraz nędzy i rozpaczy. Wszędzie zalega gruba warstwa kurzu i nic nie stoi na swoim miejscu. A tak ładnie wymalowaliśmy dom na ich przyjazd, położyliśmy nawet nowe tapety...

– Mówi pani, że tych dzieci jest czworo? – W Anne zaczęły już kiełkować macierzyńskie uczucia.

– Tak. Co rok prorok, jak powiadają. Najstarszy jest Gerald, czyli Jerry. Ma dwanaście lat i jest wyjątkowo bystry. Jedenastoletnia Faith to chłopak w spódnicy, ale muszę przyznać, że śliczna jak obrazek.

– Istny aniołek, pani doktorowo, chociaż jest strasznie rozwydrzona. W zeszłym tygodniu wstąpiłam na plebanię i akurat pani Jamesowa Millison przyniosła im tuzin jajek i bańkę mleka... bardzo małą bańkę. Faith zabrała to wszystko do piwnicy, ale na ostatnim schodku potknęła się i wywaliła razem z jajkami i mlekiem. Taka szkoda, a ona w śmiech. „Nie wiem, czy to jeszcze ja czy już gotowy krem", tak sobie zażartowała. Pani Millison bardzo się oburzyła

i przysięgła, że już nigdy niczego im nie przyniesie, skoro ma się zmarnować.

– Maria Millison nigdy się nie splamiła jakimiś darami dla plebanii – prychnęła panna Cornelia. – Poszła tam z ciekawości i potrzebowała pretekstu. Ale biedna Faith zawsze wpada w jakieś tarapaty. To dziecko jest strasznie bezmyślne i impulsywne...

– Zupełnie jak ja – zauważyła Anne. – Chyba ją polubię.

– Ma charakterek, to w moim guście – przyznała Susan.

– Rzeczywiście jest w niej coś, co chwyta za serce – zgodziła się panna Cornelia. – Ciągle się śmieje i wszystkich tym śmiechem zaraża. Nawet w kościele nie umie zachować powagi. Jej siostra Una ma dziesięć lat i może nie jest specjalnie ładna, ale ma mnóstwo wdzięku... Thomas Carlyle, zwany Carlem, to dziewięciolatek, który ma bzika na punkcie różnych ropuch, robali i żab. Zbiera je i znosi do domu.

– To pewnie on zostawił w bawialni na krześle zdechłego szczura, akurat kiedy pani Grant przyszła z wizytą – domyśliła się Susan. – Mało nie zemdlała ze strachu i trudno się dziwić, bo czy plebania to miejsce dla zdechłych szczurów? Zresztą może to sprawka kota. Ten ich kocur, pani doktorowo, to istny diabeł! Moim zdaniem, skoro już mieszka na plebanii, to niechby chociaż zachowywał się przyzwoicie, a tymczasem w życiu nie widziałam bardziej rozpustnego zwierzaka. Codziennie o zachodzie łazi po szczytowej belce dachu i wywija ogonem, po prostu nie ma wstydu!

– Najgorsze, że te dzieci nigdy nie są porządnie ubrane – westchnęła panna Cornelia. – A odkąd stopniał śnieg, chodzą do szkoły na bosaka. Więc chyba rozumiesz, ser-

deńko, że to nie przystoi, zwłaszcza że córeczka pastora metodystów paraduje w ślicznych wysokich butkach z guzikami. Poza tym naprawdę wolałabym, żeby nie bawiły się na starym cmentarzu metodystów.

– Ale to tak trudno, kiedy mają ten cmentarz tuż za płotem... – broniła małych Meredithów Anne. – Ja zawsze uważałam cmentarze za świetne miejsca do zabawy.

– Och, na pewno pani tak nie myślała! – zaprotestowała lojalna Susan, gotowa chronić swą chlebodawczynię przed nią samą. – Ma pani na to zbyt wiele rozsądku i przyzwoitości.

– A właściwie czemu wybudowano plebanię przy samym cmentarzu? – zaciekawiła się Anne. – Tam jest tak mały trawnik, że naprawdę nie mają się gdzie bawić.

– Rzeczywiście to błąd – przyznała panna Cornelia – ale cena działki była wyjątkowo niska. I dotąd żadnym dzieciom z plebanii nie przyszedł taki pomysł do głowy. Pan Meredith nie powinien na to pozwalać, ale on, nawet jeśli jest w domu, to siedzi z nosem w książce. Nic, tylko czyta albo chodzi po gabinecie, rozmyślając nie wiadomo o czym. Dobrze, że jeszcze pamięta o niedzielnych nabożeństwach, chociaż dwa razy zdarzyło mu się zapomnieć o modlitewnym spotkaniu i ktoś ze starszyzny musiał po niego pójść. O ślubie Fanny Cooper także zapomniał, dopiero gdy go wezwano przez telefon, przybiegł do kościoła... tak jak stał, w rannych pantoflach! Niby nic wielkiego, ale metodyści mieli z tego niezłą zabawę. Jedyna pociecha, że nie czepiają się jego kazań, bo gdy tylko stanie za pulpitem, wstępuje w niego życie, naprawdę! Za to pastor metodystów w ogóle nie umie nauczać, tak przynajmniej mówią. Ja, na szczęście, nigdy go nie słuchałam.

Panna Cornelia od czasu zamążpójścia złagodziła nieco swoją opinię na temat mężczyzn, ale w kwestii metodystów pozostała niewzruszona. Susan uśmiechnęła się chytrze.

– Chodzą słuchy, pani Marshallowo, że metodyści i prezbiterianie myślą o zjednoczeniu.

– No to mam nadzieję, że do tego czasu będę już dawno w ziemi. Nie chcę mieć nic wspólnego z metodystami. Pan Meredith też jeszcze się przekona, że lepiej trzymać się od nich z daleka. Moim zdaniem za bardzo się z nimi spoufala. Przyjął nawet zaproszenie na kolację z okazji srebrnych godów Jacoba Drew i nieźle się tam popisał.

– To znaczy?

– Pani Drew poprosiła go, żeby pokroił gęś. Pan Meredith posłusznie chwycił nóż, ale ledwie się do tego zabrał, wywrócił cały półmisek na kolana swojej sąsiadki, pani Reese. Po czym, niewiele myśląc, zapytał: „Zechce pani uprzejmie zwrócić mi tę gęś?". Co też potulnie uczyniła, ale musiała być wściekła, bo miała na sobie nową jedwabną suknię. A co gorsza, należy do metodystów.

– To chyba lepiej, niż gdyby była prezbiterianką – zauważyła Susan. – Bo w takim wypadku prawdopodobnie wystąpiłaby z Kościoła, a nie stać nas na utratę członków. Zresztą pani Reese we własnej kongregacji nie cieszy się sympatią, bo strasznie się nad wszystkich wynosi, więc metodyści pewnie uznali, że dobrze jej tak.

– Chodzi o to, że pan Meredith wystawił się na pośmiewisko, a mnie osobiście nie odpowiada, że nasz pastor wychodzi na niezdarę w oczach metodystów – odparła sucho panna Cornelia.

– Gdyby nawet miał tuzin żon, to i tak nie powstrzymałyby pani Drew od podania na weselną kolację tego starego, łykowatego gąsiora – upierała się Susan.

– Podobno to sprawka jej męża. Jacob Drew jest nadętym, despotycznym sknerą.

– Mówi się też, że serdecznie nienawidzą się z żoną, co nie wydaje mi się stosowne w życiu małżeńskim. Ale oczywiście sama nie mam w tym względzie żadnych doświadczeń. – Susan odrzuciła dumnie głowę. – I nie zwalałabym całej winy na mężczyzn. Pani Drew także jest dość skąpa. Ponoć w całym swym życiu przekazała na rzecz potrzebujących tylko osełkę masła, i to ubitego ze śmietanki, w której utopił się szczur. Zaniosła ją na kościelny kiermasz, a o tym szczurze dowiedziano się znacznie później.

– Na szczęście wszyscy, którym dotychczas narazili się Meredithowie, są metodystami – stwierdziła z ulgą panna Cornelia. – Ten Jerry poszedł dwa tygodnie temu na ich spotkanie modlitewne. Usiadł koło starego Williama Marsha, który jak zwykle składał świadectwo, wydając straszliwe jęki. Kiedy skończył, Jerry szepnął troskliwie: „Już panu lepiej?", co William uznał za impertynencję i dał temu wyraz. Biedny chłopiec chciał mu okazać współczucie, ale najwyraźniej nie został zrozumiany. Oczywiście nie powinno go tam być, ale te dzieci chodzą, gdzie chcą.

– Mam nadzieję, że nie obrażą pani Alecowej Davis z Harbour Head. To bardzo drażliwa osoba, ale dobrze sytuowana i dokłada pokaźną sumkę do pensji pastora. A podobno mówiła, że nie widziała gorzej wychowanych dzieci niż mali Meredithowie.

– Wszystko, co mówicie, coraz mocniej mnie przekonuje, że ta rodzina należy do plemienia, które zna Józefa* – orzekła zdecydowanie pani domu.

– W sumie tak – zgodziła się panna Cornelia. – A to równoważy wszystko. Tak czy inaczej, są tu z nami, więc musimy zrobić dla nich, co w naszej mocy, i trzymać ich stronę wobec metodystów. No, muszę się zbierać. Marshall niedługo wróci po całym dniu za zatoką i zażąda kolacji, iście po męsku. Szkoda, że nie zobaczyłam dzieci. A gdzie się podziewa doktor?

– Jest w Harbour Head. Przyjechaliśmy dopiero trzy dni temu, a udało mu się w tym czasie spędzić we własnym łóżku trzy godziny i zjeść w domu dwa posiłki.

– No tak, wszyscy, którym coś dolegało, czekali od sześciu tygodni na jego powrót. I trudno im się dziwić. Odkąd lekarz z drugiej strony zatoki ożenił się z córką przedsiębiorcy pogrzebowego z Lowbridge, ludzie nabrali wobec niego podejrzeń, bo nie robi to dobrego wrażenia. Musicie z doktorem przyjść niedługo do nas i opowiedzieć nam o swojej podróży. Pewnie bardzo się wam udała.

– O tak – przyznała Anne. – To było spełnienie wieloletnich marzeń. Stary Kontynent jest taki cudowny! Ale też z wielką radością wróciliśmy na naszą wyspę. Kanada jest najpiękniejszym krajem na świecie, panno Cornelio.

– Nikt nigdy w to nie wątpił.

– Wyspa Księcia Edwarda to najpiękniejsza prowincja, a najpiękniejszy jej region to nasze Four Winds – mówiła ze śmiechem Anne, ogarniając czułym spojrzeniem wioskę,

* Zob. Księga Wyjścia 1,8.

zatokę i przystań w promieniach zachodzącego słońca. – Nic wspanialszego nie widziałam w całej Europie. Naprawdę musi pani już iść, panno Cornelio? Dzieciom będzie żal, że się z panią nie zobaczyły.

– To niech mnie szybko odwiedzą. Powiedz im, że słój z pączkami jest zawsze pełny.

– Ach, przecież przy kolacji zapowiadały, że panią odwiedzą. Na pewno wkrótce przyjdą, tylko teraz czeka je szkoła. A prócz tego bliźniaczki zaczynają lekcje muzyki.

– Chyba nie u żony pastora metodystów? – zaniepokoiła się panna Cornelia.

– Nie, u Rosemary West. Wczoraj to z nią uzgodniłam. Jaka to ładna dziewczyna!

– Faktycznie dobrze się trzyma, ale nie jest już taka młoda.

– Uważam, że ma mnóstwo wdzięku. Właściwie nie znałam jej dotąd naprawdę. Ich dom leży na uboczu i widywałam ją tylko w kościele.

– Tu wszyscy zawsze lubili Rosemary, chociaż jej nie rozumieli – stwierdziła panna Cornelia, nieświadoma, jak wielki hołd złożyła w ten sposób urokowi dziewczyny. – Ellen ją krótko trzyma, wręcz tyranizuje, że tak powiem, chociaż pod niektórymi względami bardzo jej pobłaża. Dawno temu Rosemary zaręczyła się z młodym Martinem Crawfordem. Jego statek rozbił się niedaleko Wysp Magdaleny i cała załoga utonęła. Rosemary miała wtedy zaledwie siedemnaście lat, ale potem nigdy już nie była taka sama. Po śmierci matki bardzo zbliżyła się do Ellen i obie rzadko ruszają się z domu, nawet do swojego kościoła w Lowbridge. Z tego, co wiem, Ellen nie pochwala zbyt częstego bywania

u prezbiterian, a do metodystów nie chodzi nigdy. Rodzina Westów zawsze należała do Kościoła anglikańskiego. Obie siostry są całkiem zamożne i Rosemary wcale nie musi dawać lekcji, robi to dla przyjemności. Są dalekimi krewnymi Leslie... Nie wiesz, czy Fordowie przyjadą tutaj na lato?

– Nie. Wybierają się do Japonii i pewnie zostaną tam na rok. Akcja nowej powieści Owena rozgrywa się w japońskiej scenerii. Po raz pierwszy od naszej wyprowadzki Wymarzony Dom będzie stał pusty.

– Zdawałoby się, że Owen ma dostatecznie dużo tematów w Kanadzie i nie musi ciągać żony oraz niewinnych dzieci do jakiegoś pogańskiego kraju – burknęła panna Cornelia. – *Księga życia kapitana Jima* to jego najlepsze dzieło, a przecież materiał do niego zdobył tutaj, w Four Winds.

– Ale wie pani, że większość tej książki powstała z opowieści kapitana, zbieranych po całym świecie. Zresztą wszystkie książki Owena są wspaniałe.

– No rzeczywiście są niezłe, nie powiem. Postanowiłam zapoznać się z każdą jedną, chociaż czytanie powieści uważam za grzeszną stratę czasu. Muszę do niego napisać, już ja mu wygarnę, co sądzę o tym pomyśle z Japonią. Czy chce, żeby Kenneth i Persis zostali poganami?

Pozostawiwszy to pytanie bez odpowiedzi, panna Cornelia odtrąbiła odwrót. Susan poszła położyć Rillę do łóżka, Anne zaś została sama na stopniach werandy, pod wygwieżdżonym niebem, i jako niepoprawna marzycielka po raz kolejny przekonywała się, jak cudownym zjawiskiem jest księżycowa poświata nad Four Winds Harbour.